

Damy

7 maja 2017

W kancelarii dyrektora szkół ludowych N-skiej guberni, Fiedora Piotrowicza, który uważał siebie za człowieka sprawiedliwego i szlachetnego, siedział w godzinach przyjęć nauczyciel Wremiński.

– Nie, panie Wremiński – mówił dyrektor – dymisja jest nieunikniona. Z pańskim głosem nie można kontynuować pracy nauczycielskiej. Lecz w jaki sposób pan go stracił?

– Byłem spocony i wypilem zimnego piwa – odpowiedział syczącym głosem nauczyciel.

– Jaka szkoda! Przesłużył człowiek czternaście lat – i nagle takie nieszczęście! Diabli wiedzą przez jakie głupstwo można sobie zwichnąć karierę. Cóż pan ma zamiar teraz robić?

Nauczyciel nie odpowiedział.

– Ma pan rodzinę? – spytał dyrektor.

– Żona i dwoje dzieci, Ekscelencjo... – zasyczał nauczyciel.

Zapanowało milczenie. Dyrektor wstał od stołu i nerwowo przeszedł się po pokoju.

– Zachodzę w głowę, co mam z panem robić – powiedział – nauczycielem pan być nie może, do emerytury pan jeszcze nie dociągnął... a pozostawić pana na łasce losu, puścić na cztery wiatry jakoś nie wypada... Pan jest dla nas już swoim człowiekiem, służył pan czternaście lat – więc obowiązkiem naszym jest pomóc panu... Ale jak pomóc? Co mogę zrobić dla pana? Niech pan wejdzie w moje położenie: co ja mogę dla pana zrobić?

Znowu zaległo milczenie; dyrektor chodził i wciąż rozmyślał, a Wremiński, zgnębiony swoim nieszczęściem, siedział na brzegu

krzesła i również rozmyślał. Nagle, twarz dyrektora rozpromieniła się i nawet trzepnął palcami z uciechy.

– Dziwne, że sobie o tym wcześniej nie przypomniałem – począł mówić prędko. – Oto co mogę panu zaproponować... W przyszłym tygodniu sekretarz naszego przytułku porzuca posadę. Jeżeli pan chce, to niech pan zajmie jego miejsce.

Twarz Wremińskiego, który nie spodziewał się takiej łaski, również się rozpromieniła.

– Doskonale – powiedział dyrektor. – Niech pan dziś jeszcze napisze podanie.

Pożegnawszy się z Wremińskim, Fiedor Piotrowicz poczuł ulgę, a nawet zadowolenie: nie sterczała już przed nim zgarbiona postać syczącego pedagoga i sprawiała mu satysfakcję świadomość, że skoro zaproponował Wremińskiemu wakującą posadę, postąpił sprawiedliwie, zgodnie z sumieniem, jak dobry i prawdziwie porządny człowiek. Ale ten przyjemny nastrój trwał niedługo. Gdy wrócił do domu i zasiadł do obiadu, żona Nastasja Iwanowna przypomniała sobie nagle:

– Ach, prawda, o mało nie zapomniałam! Wczoraj była u mnie Nina Sergejewna i prosiła o poparcie dla pewnego młodego człowieka. Podobno w naszym przytułku otwiera się wakat...

– Tak, ale tę posadę przyrzekłem już komu innemu – powiedział dyrektor i wzrok mu się zachmurzył. – Zresztą, znasz moją zasadę: nigdy nie udzielam posad przez protekcję.

– Wiem, ale sądzę, że dla Niny Sergejewny można zrobić wyjątek. Kocha nas, jak bliskich krewnych, a myśmy dla niej jeszcze nic dobrego dotychczas nie zrobili. Nawet nie myśl o odmowie! Obraziłbyś swymi kapryсами i ją, i mnie.

– A kogóż ona poleca?

– Połzuchina.

– Jakiego Połzuchina? Tego, co na nowy rok grał w klubie rolę Czackiego! Tego dżentelmana? Za nic w świecie!

Dyrektor przestał jeść.

– Za nic w świecie! – powtórzył. – Niech Bóg broni!

– Ależ dlaczego?

– Zrozum, kochanie, że jeżeli młody człowiek działa przez kobiety a nie idzie sam prostą drogą, to jest marną figurą. Dlaczego sam do mnie nie przyjdzie?

Po obiedzie dyrektor położył się w swoim gabinecie na kanapie i zabrał się do czytania otrzymanych gazet i listów.

„Drogi Fiedorze Pietrowiczu – pisała mu żona burmistrza. – Powiedział pan kiedyś, że znam się na ludziach. Ma pan teraz okazję sprawdzić to w rzeczywistości. W tych dniach zwróci się do pana pewien K. N. Połzuchin z prośbą o posadę sekretarza; znam go, jako wzorowego młodego człowieka. Młodzieniec ten jest bardzo sympatyczny. Skoro się nim pan zajmie, przekona się itd...”

– Za nic w świecie! – wyrzekł dyrektor. – Niech Bóg broni!

Odtąd nie było dnia, żeby dyrektor nie otrzymywał listów polecających Połzuchina. Pewnego pięknego poranku zjawił się i sam Połzuchin, tęgi młodzieniec, o wygolonej dżokiejskiej twarzy, w nowym, czarnym garniturze.

– W sprawach służbowych przyjmuję nie tutaj, lecz w kancelarii – powiedział surowo dyrektor, wysłuchawszy jego prośby.

– Przepraszam, Ekscelencjo, ale nasi wspólni znajomi poradzili mi zwrócić się właśnie tutaj.

– Hm... – mruknął dyrektor, spoglądając z nienawiścią na ostre końce jego butów. – Jeżeli się nie mylę – powiedział – ojciec pański posiada majątek i pan nie jest w potrzebie, po cóż więc

stara się pan o tę posadę. Przecież pensja mizerna.

– Nie ze względu na pensję, a tak... Jednak służba państwowa...

– Tak... Jestem pewny, że za miesiąc znudzi się panu to zajęcie i porzuci pan je, a tymczasem są kandydaci, dla których ta posada jest karierą na całe życie. Są biedacy, dla których...

– Nie znudzi się – przerwał Połzuchin. -- Słowo daję, że będę się starał.

Dyrektor wybuchnął.

– Powiedz pan – spytał z pogardliwym uśmiechem – dlaczego nie zwrócił się pan wprost do mnie, lecz uważał pan za potrzebne trudzić damy.

– Nie wiedziałem, że sprawi to panu przykrość – odparł Połzuchin i zmieszał się. – Lecz, jeżeli pan nie przywiązuje wagi do listów polecających, to mogę przedstawić świadectwa.

Wydobył z kieszeni papier i podał go dyrektorowi. Pod świadectwem, napisany kancelaryjnym stylem i charakterem, był podpis gubernatora. Ze wszystkiego widać było, że gubernator podpisał, nie czytając, byle pozbyć się jakiejś natrętnej damy.

– Nie ma co, podporządkowuję się... słucham... – powiedział dyrektor, przeczytawszy świadectwo i westchnął. – Niech pan złoży jutro podanie – nie ma co...

Gdy Połzuchin odszedł, dyrektor poddał się całkowicie uczuciu.

– Wstrętna kanalia! – syczał, biegając z kąta w kąt. – A jednak dopiął swego, nędzny fagas, bawidamek! gadzina! Bydlę!

Dyrektor splunął głośno w kierunku drzwi, za którymi znikł Połzuchin, lecz zmieszał się nagle, gdyż do gabinetu jego wchodziła właśnie żona dyrektora izby skarbowej.

– Ja tylko na chwilkę, na chwileczkę... – zaczęła dama. –

Siadajcie, kumie, i słuchajcie mnie uważnie... Otóż mówią, że u was wakuje posada. Dziś albo jutro będzie u was młody człowiek, niejaki Połzuchin...

Dama szczebiotała, dyrektor zaś spoglądał na nią mętnymi, osłupiałymi oczyma, jak człowiek bliski omdlenia, i uśmiechał się dla przyzwoitości.

A następnego dnia, przyjmując w kancelarii Wremienskiego, dyrektor długo nie mógł się zdobyć na to, by mu powiedzieć prawdę. Mieszał się, nie wiedział od czego zacząć, co powiedzieć. Chciał wytłumaczyć się przed nauczycielem, wyznać mu całą prawdę, ale język mu się plątał jak pijanemu, uszy płonęły i owładnęło nim nagle uczucie wstydu, upokorzenia, że zmuszony jest wobec podwładnego w własnej kancelarii grać taką głupią rolę. Uderzył nagle pięścią w stół, zerwał się i krzyknął z gniewem:

– Nie mam dla pana posady! Nie mam – i już! Daj mi pan spokój! Nie męcz mnie pan! Odczep się pan nareszcie ode mnie, z łaski swojej.

I wyszedł z kancelarii.

Autorstwo: Anton Czechow

Tłumaczenie: A. W.

Źródło: WolneLektury.pl